Nigdy nie opuszczałam Polski

Jest jedną z najwybitniejszych polskich aktorek teatralnych i filmowych. Popularność i miejsce w sercach widzów zyskała niezapomnianymi występami w Kabarecie Starszych Panów. Od lat dzieli czas między Polskę i Stany Zjednoczone. Warszawska publiczność zobaczy ją 20 czerwca w „Biesiadzie u hrabiny Kotłubaj" Gombrowicza w Teatrze Małym.

Przyjechała pani do Polski z przedstawieniem „Biesiady u hrabiny Kotłubaj" Witolda Gombrowicza w reżyserii Michaela Hacketta. Jak doszło do tej współpracy? Jak to się stało, że w Los Angeles spotkaliście się przy pracy nad tym spektaklem?

Wiele lat temu poznałam profesora Hacketta. Praca z nim była przyjemnością i prawdziwym szczęściem, bo szczęściem jest w naszym zawodzie trafienie na wspaniałe, artystyczne dusze, rzeczywiste talenty, szczególnie na obcym terenie. Wcześniej grałam u niego w „Hipolitusie" i od tej pory nasza „zawodowa" znajomość zamieniła się w przyjaźń osobistą. Nigdy nie traciłam kontaktów z rodziną Hackettów.

Propozycja zrobienia spektaklu z Gombrowicza wynikła z wielu kontaktów Hacketta, nawiązanych w Polsce. Jak wiemy Gombrowicz, Różewicz, Mrożek i Witkacy wolniej lub szybciej zdobywają świat. Chwilami można nawet odnieść wrażenie, że przeżywamy eksplozję naszej literatury spod znaku tych autorów. Możemy być z tego dumni i szczęśliwi, gdyż jest i będzie ona teraz coraz mocniej eksploatowana.

Dwa lata temu Michael Hackett oznajmił mi, że dostał tę propozycję i zapytał, czy chciałabym wziąć w tym udział. Zgodziłam się z wielkim entuzjazmem. Bardzo cieszę się, gdy to, co istnieje jako słowna deklaracją powoli przechodzi w fazę realizacji. Największym szczęściem jest jej sfinalizowanie. I tego wszyscy się doczekaliśmy.

Czy przedstawienie było już pokazywane w Los Angeles?

Tak. Zostało nadspodziewanie dobrze, wręcz znakomicie przyjęte. Dodało nam to skrzydeł, siły i otuchy, bo, mimo że wszyscy jesteśmy profesjonalistami, zawsze odczuwamy przeróżne niepokoje, wahania, wątpliwości. Zbytnia pewność siebie może tylko zaszkodzić, w żadnym razie nie można jej zazdrościć ludziom sztuki. Niepewność aż do momentu kontaktu z odbiorcą wywołuje czujność, czy udało się wypełnić wszystkie założenia i czy właściwe jest nasze myślenie o tych sprawach. Dlatego tak ważne są analizy towarzyszące naszej, doprawdy, bardzo ciężkiej pracy. W moim przypadku dodatkowym wyzwaniem jest oczywiście język. Zawsze zdarzają się pozycje łatwe i trudne. To, co w odbiorze wydaje się nadzwyczaj proste, bo wrażenie takiej prostoty staramy się wytworzyć na scenie, nam przychodzi z największym trudem i wymaga wielkiego wysiłku. Efekt jest później szalenie prosty. Wielka sztuka — pogadali, posiedzieli, coś się zdarzyło. Tymczasem wszystko jest długo i bardzo precyzyjnie budowane, żeby końcowy wynik był właśnie taki.

Gombrowicz oznacza tzw. czystą formę, a ona wymaga jeszcze większej precyzji. Michael Hackett jest mistrzem dźwięku i ruchu, jest jak dyrygent, czuły na brzmienie orkiestry i instrumentów. Bardzo wyraźnie można to wyczuć w jego spektaklach.

Kim są aktorzy towarzyszący pani w przedstawieniu?

Zawodowymi aktorami właśnie.

Skąd pochodzą?

Z Los Angeles. Jest dwóch starszych, pierwszy zajmuje się tylko aktorstwem, drugi wykłada dodatkowo na uniwersytecie. Trzeci z nich, już z młodego pokolenia, przypomina mi osobiście młodego Jana Englerta. Występuje też trzech studentów — adeptów sztuki aktorskiej.

Od początku wiedzieliście, że przedstawienie przygotowane w Los Angeles przyjedzie do Polski?

To była propozycja Festiwalu Gombrowiczowskiego w Radomiu. Stanowi jednak potwierdzenie, że gatunek stworzony przez Gombrowicza czy Witkacego jest pochłaniany z zachwytem na całym świecie. W tej chwili za granicą odkrywają, jak fantastyczna to literatura sceniczna, możliwa do wykorzystania przez wiele form, choćby balet.

Dla pani zadanie nie było chyba trudne. Od lat jest pani mistrzynią w kreowaniu podobnych postaci. Zaczęło się od tytułowej roli w prapremierze „Iwony, księżniczki Burgunda"?

Tak. Wtedy to była dla nas absolutna rewolucja — myślowa, a także warsztatowa. Przyzwyczajeni byliśmy do sztuk w rodzaju Zapolskiej, Bałuckiego. Kompletnie nie znaliśmy tego gatunku. Ja nagle poczułam się w nim jak ryba w wodzie. Ale myli się pan, mówiąc, że to powinno przychodzić mi z łatwością. Wręcz odwrotnie. Uniwersalność tych mistrzów, ich talent, polega na tym, że przekroczyli barierę czasu. W tej chwili są tak samo czytelni jak wówczas, a może nawet bardziej. Uważano ich bowiem za szaleńców. Stworzyli na papierze rzeczywistość, w której my żyjemy. Nadali jej formę. Nam przyszło istnieć w świecie tak szalonym i zdeformowanym, że takich deformacji nie przewidział nawet Witkacy. Jego deformacje mają charakter sceniczny. My żyjemy w zdeformowanych realiach.

Stworzyła pani wiele świetnych ról Witkacowskich, przede wszystkim na trzech warszawskich scenach — w „Dramatycznym", „Narodowym" i w Teatrze Współczesnym Erwina Axera. Jak z perspektywy czasu patrzy pani na swój dorobek?

Te doświadczenia muszą we mnie pozostać, ale nowy rytm życia, nowy język i nowa rzeczywistość nie pozwala na odwoływanie się do nich. Jak powiedziałam, nawet Witkacy nie przewidział, że po ulicach będą chodzić ludzie z kolorowymi włosami, dziwnie ostrzyżeni, z kolczykami w policzkach, na powiekach. Ta deformacja jest tak wielka i chora, że nie ma przełożenia na deformację artyzmu, na język sceny, który powinien być przekazany widzowi w teatrze i filmie. Te wszystkie doświadczenia mają na pewno na mnie wpływ, choćby dlatego, że przez nie przeszłam.

Wciąż odwołuję się jednak do bazy, którą zdobyłam w szkole. Wyszłam spod ręki wspaniałego artysty Iwo Galla. Mogę powracać do niej w każdym czasie. Najważniejszy jest warsztat aktorski, a za nim idą doświadczenia. Trudno też mówić o zdobywaniu rutyny. I tak wciąż szukamy nowych dróg, nowego wyrazu.

Komu oprócz Iwo Galla zawdzięcza pani najwięcej? Kim byli pani zawodowi mistrzowie?

To pytanie mojego pokolenia dotyczy w mniejszym stopniu. Ci mistrzowie, którzy mogli mnie, oprócz Galla, wiele nauczyć, byli oddaleni ode mnie wiekowo i bardzo szybko, bardzo wcześnie odeszli. Nie zdołałam otrzeć się o tak genialnych artystów jak Stefan Jaracz, Juliusz Osterwa. Oni jeszcze byli wśród nás, ale nam nie dane było spotkać się z nimi, stanąć obok nich na scenie. Nasze pokolenie, wywodzące się z trzech wielkich placówek — Łodzi, Krakowa i Warszawy — przyniosło, w jednym momencie, całą armię talentów. Od początku wzajemnie się wspieraliśmy. Dlatego mamy tak wielu doskonałych artystów. Wielu z nich dużo, dużo za wcześnie odeszło. Z nimi miałam okazję pracować. Razem współtworzyliśmy spektakle, wspólnymi siłami osiągaliśmy rezultaty.

Kto z pani partnerów miał dla pani największe znaczenie?

Wszystko zależy od gatunku. Na scenie kabaretowej bez konkurencji jest Kabaret Starszych Panów — forma sięgająca ideału. Klasa literacka i zespół aktorski były absolutnie niepowtarzalne. Mogę wymienić każde nazwisko. Wiesław Michnikowski, Wiesław Gołas, Kalina Jędrusik, Irena Kwiatkowska — to tak ogromne indywidualności, że nie mogłabym nikogo wyróżnić. Grywałam z nimi na scenie i w kabarecie. Często rano spotykałam się n.p. w nagraniu Starszych Panów z Gołasem, a wieczorem wspólnie występowaliśmy w teatrze. Inspirowaliśmy się wzajemnie przez cały czas. Pamiętam wspólne granie z Wiesiem Gołasem w słynnych „Paradach" Potockiego, fenomenalnie wyreżyserowanych przez Ewę Bonacką. To nie było tylko odtwarzanie ról, ale coś znacznie więcej, wspólne tworzenie, mimo bardzo rygorystycznego reżimu.

Porozmawiajmy chwilę o Kabarecie Starszych Panów. Wspólnie z Jeremim Przyborą i Jerzym Wasowskim stworzyli państwo coś niezwykłego. Kabaret wciąż żyje, ludzie z utęsknieniem czekają na telewizyjne powtórki, piosenki przeszły do kanonu polskiej poezji...

Niewątpliwie tak.

Co odczuwała pani, bezpośrednio biorąc w tym udział...

Radość. Tęskniliśmy do kolejnych spotakań, do bycia razem, choć przebywaliśmy ze sobą bardzo często. To była naprawdę twórcza i radosna ekipa. Z przyjemnością gnało się na próbę, siedziało wśród kolegów i patrzyło, co wymyślą inni — Gołas, Michnikowski, Stępowski, Kwiatkowska. Nikt nie ziewał, nie był zmęczony. Czekaliśmy, co nowego każdy zaproponuje. Byliśmy sobą zarażeni. Wiesio Gołas miał tysiące pomysłów nie tylko dla siebie i dla reżysera, ale i dla partnerów.

Skąd bierze się ponadczasowość Kabaretu Starszych Panów?

Z wielu powodów, z talentu twórców — Wasowskiego i Przybory.

Czy zdarza się pani powracać do tych tekstów, piosenek?

Zawsze — podczas każdej rozmowy, każdego spotkania. Teraz mówimy o tym w czasie przeszłym. To żyje, to po prostu jest nadal aktualne, tak samo raduje serce, rozśmiesza. Dowcip śmieszy kolejne pokolenia, które inaczej żyją, inaczej myślą.

Ma niezwykłą klasę.

To prawdziwa perełka salonowa. Mówi się, że czasy się zmieniają, moda i styl bycia też. To prawda. Rzeczywiście, wiele się zmieniło. Ludzie schamieli. Brakuje dobrych żartów, a jak są — to ciężkie lub nieśmieszne. A jednak Starsi Panowie docierają do tego zmienionego świata. Tu tkwi zagadka. Prawdopodobnie zmieniliśmy się powierzchownie, ale wewnątrz jesteśmy tacy sami i następne pokolenia też są do nas podobne.

Poza wielką rolą w „Jak być kochaną" Wojciecha Jerzego Hasa nie została pani wykorzystana przez film.

To prawda. Niestety można tak powiedzieć. To dotyczy nie tylko mnie, ale wielu artystów. Wiele zależy od przypadku. To pytanie do wielkiej analizy.

W pewnym momencie zdecydowała się pani opuścić Polskę. Czy mieszkając kilkanaście lat w Ameryce, potrafiła się pani do niej przyzwyczaić?

Po pierwsze sprostowanie. Nie opuszczałam Polski. Otrzymałam propozycję zawodową zagrania w sztuce Witkacego. Nie mogłam odmówić. Zostałam, ale to wiąże się z inną stroną mojego życia prywatnego i zawodowego. Doszły jeszcze czasy, w których przyszło nam funkcjonować. To nie było opuszczenie Polski, ale wyjazd, przedłużony w nieskończoność. Szybko zapuszczam korzenie i wszędzie się bardzo dobrze czuję. Ułatwia mi to moją egzystencję, bez trudu nawiązuję kontakty z ludźmi.

Czy w grę wchodziły względy polityczne?

Nic z tych rzeczy. Polityka nie dotyczy człowieka, który naprawdę „robi w sztuce". To inna dziedzina. Sprawy polityczne mogą mieć tylko zły albo dobry wpływ. Dyskutuje się ciągle, że w tej chwili brakuje dopingu do działania, a cenzura i represje wyzwalały twórcze siły i impulsy. Myślę, że jest w tym część prawdy, ale tylko część. Nasze czasy są tak ciekawe, że gdybym zajmowała się pisaniem, to chyba odpadłaby mi ręka albo padłabym z wyczerpania.

Ale mój wyjazd nie miał nic wspólnego z polityką. Wyjechałam w czasie największej fali emigracji i dlatego mnie do niej zaliczono. O pozostaniu w Ameryce zadecydowały zawodowe i prywatne sprawy. Jestem osobą publiczną i wiele kwestii bywa różnie interpretowanych. Cieszę się zainteresowaniem, bo wciąż mnie widać, dużo pracuję. Kiedy okazało się, że mogę wrócić — oczywiście to uczyniłam.

W tej chwili moje miejsce wyznacza wyłącznie praca. Mamy wolny świat, wolną ojczyznę i otwarte granice. W każdej chwili można kupić bilet i za godzinę polecieć w nieznanym kierunku.

Gdzie jest pani dom? Gdzie czuje się pani u siebie?

Oczywiście, że tutaj. Dom jest tam, gdzie się człowiek urodził. Inna sytuacja jest niemożliwa. Natomiast bardzo lubię podróże, ciągnie mnie do świata, do nowości. Potrzebuję tego, bo wynika to z mojego charakteru i kontaktu z zawodem, chociaż nie należę do stałego zespołu, jak przez długie lata. Niektórzy ludzie w podróży więdną, w obcych miejscach marnieją. Jestem ich przeciwieństwem. Jestem wciąż nienasycona światem.

Jak ocenia pani, trochę z oddali, zmiany w Polsce?

Bezwzględna zmiana dotyczy samych przyjazdów i wyjazdów. Wjeżdża się do wolnego kraju. To wielka radość. Tu jest prawdziwa wolność. Odczuwa się ją dopiero na granicy.

Jakie są pani następne plany artystyczne?

Nie potrafię odpowiedzieć. Dotyczą filmu, ale nie są sprecyzowane. Jedynym i najważniejszym zadaniem jest teraz dla mnie „Biesiada u hrabiny Kotłubaj". Dopóki ta praca się nie skończy, inne sprawy nie istnieją.

„Dom jest tam, gdzie się człowiek urodził. Inna sytuacja jest niemożliwa. Natomiast bardzo lubię podróże, ciągnie mnie do świata, do nowości. To wynika z mojego charakteru i kontaktu z zawodem. Niektórzy ludzie w podróży marnieją, w obcych miejscach więdną. Jestem ich przeciwieństwem. Jestem wciąż nienasycona światem."

Rozmawiał JACEK WAKAR

Zdjęcie Andrzej Marzec